

Jakub Dybek: Człowiek półcienia. Rzecz o Bobkowskim

Bobkowski szuka tego, czego szuka dziś wielu Polaków – tożsamości, poczucia zakorzenienia



Bobkowski szuka tego, czego szuka dziś wielu Polaków – tożsamości, poczucia zakorzenienia

Trudniej jest nie dać rządzić sobą, niż rządzić drugimi

François de La Rochefoucauld

Trzeba zacząć od tego, że lektura dziennika Boba działa jak skok w chłodną toń jeziora podczas upalnego lata. I już dla samego języka jakim napisane są „Szkice Piórkiem” warto po nie sięgnąć, bo gdy tylko Bobkowski nie stara się pisać Rzeckim, Balzakiem czy Flaubertem – których darzy najwyższym uznaniem – jego głos brzmi wyraziście i ożywczo. Fraza nie jest tu specjalnie melodyjna, z resztą muzyka Bobkowskiego nie stymuluje, nie poświęca jej zbyt wiele uwagi. Autor *Punktu Równowagi* słowem maluje. Jego wrażliwość na kolor, kształt, fakturę – nie tylko przedmiotów, ale i ludzkich charakterów – jest olbrzymia. Świetnie ilustruje to wpis z dnia 30.06.1944 dotyczący lektury jednej z książek Żeromskiego. Gdy Andrzej wspomina autora *Przedwiośnia*, który odwiedzał jego dom rodzinny, pisze:

„Ten jego śmiech, jakby żółto-zielony, dostrzegam teraz we wszystkim co czytam. Wiem, że to jest niesprawiedliwe, ale nie potrafię inaczej. To dziwne, a to wspomnienie należy do najbardziej wyrazistych, jakie zachowałem z wczesnego dzieciństwa. Żółto-zielony śmiech. Za to określenie dostałem raz dwóję w gimnazjum. Byłem bardzo dumny.”[1]

Fragmenty dziennika opisujące podróż przez Francję z warszawsko-paryskim robotnikiem Tadzim to również czysta proza. Cały *entourage* ich wspólnego powrotu do Paryża, prowadzone w tym czasie rozmowy, seria ciekawych wydarzeń (jak te z kasyna w Monte Carlo) przywodzą na myśl wędrówkę Don Kichota i Sancho Pansy, tyle że nie konno – a na rowerach.

Dobre literacko, są tu nawet opisy seksu[2] (których szukać w dzienniku ze świecą, Bobkowski nie jest zafascynowany epatowaniem życia intymnego własnego i innych), jak np. ten gdy czekając na swojego kolegę Olesia w recepcji hotelu, opisuje prostytutkę idącą „na miłość” z mężczyzną po schodach:

„Ona –skoncentrowana miłość. Jak mleko w puszcze. Na utlenionych splotach loczków malutki kapelusik, czarny tailleur z olbrzymią białą kamelią w klapie. Pantofelki na bardzo wysokim obcasie i nogi, ach, takie «szczujące». Takie nogi, co to cały czas poruszają się w ten sposób, jakby mówiły: «a gzz», «a wrz» - «weź mnie, weź mnie»... Ruch bioder, to poemat, to obietnica kołysania się łodzi na spokojnej fali w upalne południe...”[3]

Zobrazowane adekwatnie do sytuacji. Można bez wywijania fallusem? Jasne, że można.

BOSO PRZEZ ŚWIAT

Od dziecka na walizkach, często podróżujący wraz z ojcem, Bobkowski rośnie głodny przygody i różnorodności świata. Na kartach „Szkiców piórkiem” poznajemy go w wieku dzisiejszego pokolenia ludzi kończących studia, wchodzących w dorosłość. Tak jak oni, szuka siebie, planuje, bierze pod uwagę różne konfiguracje, by znaleźć gdzieś swoje miejsce. Dlatego, przed rozpoczęciem wojny, w marcu 1939 roku wyjeżdża wraz z żoną do Paryża, który miał być przystankiem na trasie, której celem była Argentyna. Jednak po pół roku świat wywraca się do

góry nogami, a wraz z nim plany Bobkowskiego. Wobec wybuchu wojny, odruchowo zgłasza się on do formującej się we Francji Armii Polskiej - nie udaje się, spotyka się z odmową. Rozpoczyna pracę w fabryce amunicji, by następnie w Biurze Polskim odpowiadać za reprezentację interesów polskich robotników we Francji - w tym czasie prowadzi swój dziennik obejmujący lata 1940-44.

Bobkowski zastanawia się nad sobą i cywilizacją, nad naturą i sztuką, polską literaturą i francuską kuchnią - błądzi i szuka odpowiedzi. Najważniejsze jednak, że poszukiwania te mają szansę przynieść owoc, bo – mimo dosadnej niezgody na to, że przyszło mu żyć w szalejącej wojnami Europie XX wieku - nie jest Bobkowski życzeniowym szczepieniem, rzucającym się z pianą na ustach na wszystko czego nie potrafi zrozumieć. Jego poszukiwania mają sens, gdyż ufundowane są na próbie (to ważne, ta próba) twardego stąpania po ziemi, krytycznej obserwacji. Mówię o próbach, bo biorąc pod uwagę temperament Bobkowskiego, taka postawa nie przychodzi mu łatwo, widać to szczególnie w jego ambiwalentnym stosunku do Francji, którą w tym samym stopniu adoruje co nienawidzi.

Dzięki odpowiedniemu bagażowi intelektualnemu (jak za młodu Andrzej był wściekły na ojca, z powodu jego bezustannego napominania odnośnie wykształcenia syna, wiedział tylko sam Bobkowski), formacji moralnej (Bóg, Honor, pozornie bez Ojczyzny), dzięki odwadze i zdolności do trzeźwego patrzenia na świat Bobkowska rozprawia się w sobie z ofertami dzieci rewolucji, wyznawcami nowej wiary pod sztandarem Postępu, heroldami nowego lepszego świata – Hitlerem, Stalinem i Mussolinim. I tu znowu napotykamy na kontrast w jego charakterze, bo to że należy się kształcić i „oświecać” było dla

niego jasne, ale bez naiwnej chłopotomanii Bobkowski (absolwent ekonomii warszawskiej SGH, posługujący się biegle trzema językami, czytający płynnie po łacinie) wielokrotnie notuje, że wprost nie cierpi „czystych intelektualistów”, ludzi oderwanych od prawdziwego życia, alchemików z aseptycznych laboratoriów idei - za których mądrością, czai się często pogarda i skłonność do zamykania się na drugiego człowieka.

Ten dziennik – mimo sączącej się na jego kartach młodzieńczej witalności – jest wielkim pragnieniem aksjologicznego ładu mężczyzny dojrzałego, wołaniem o przywrócenie pojęciom właściwych im znaczeń, o nazywanie rzeczy po imieniu. Jest miejscem na wprowadzanie do otaczającego go chaosu - ładu, porządku i elementarnej logiki.

DZIĘKUJE, NIE SŁODZĘ

Powierzchniowo, Bobkowski nie ma wiele do zaoferowania polskiemu konserwatyście. Bo czy w aktualnej sytuacji, zainteresuje nas kult indywidualizmu? Przekonanie o tym, że „dobry Polak” może żyć gdzie chce i jak mu się podoba? Czy uwiera nas – tak jak jego – idea silnego państwa? Czy polityka, jest dla nas złem samym w sobie?

Bobkowskiego karzą nam dzisiaj kojarzyć jako „Kosmopolaka”, podkreślając to, że po wojnie nigdy nie wrócił do Polski, a tu guzik, figa. Przecież to, że 26.1.1942 notuje:

„Nie potrafiłem i nie potrafię zatumanić się narodowo. Bardzo być może, że nacjonalizmu nie znoszę jeszcze bardziej niż komunizmu i gdybym był bardzo bogaty, to ufundowałbym na jakimś naszym uniwersytecie katedrę kosmopolityzmu i przytomności. Jesteśmy tyle samo warci co inni, a różnica jest w tonacji, a nie melodii”.[4]

To jest to, li tylko reakcja na szaleństwo totalitaryzmu, które postawiło ideologię, idee narodową wyżej niż ludzkie życie, a pojedynczego człowieka zamieniło w numer i tatuaż na przedramieniu za drutem kolczastym. Andrzej Horubała w świetnym eseju dotyczącym Bobkowskiego, pt. „Marzenie o chuliganie” ujmuje ten sceptycyzm i indywidualizm podwyższony do rangi dogmatu jako *„ostrzeżenie dla wielu aktywistów i działaczy, oddających całe «ja» choćby najszczytniejszej idei...”*.

Czytając dziennik Boba widzimy przecież, że kwestia Polski przewija się bardzo często, w różnych kontekstach – podczas spotkań z polskimi robotnikami, w czasie chwil głębokiej samotności i wsłuchiwania się w radiowe wiadomości, czy w trakcie jakiejś lektury. Jakże niejednoznaczny jest to stosunek. Dla nas, dla siebie, Bobkowski ma naprawdę gorzkie słowa:

„Naród to nie dach, ten polski w stylu bizantyjsko-gotycko-nadwiślańsko-barokowo-dorycko-rokokowo-powstaniowo-marszałkowo i cholera wie co, ten dach złożony z legend i pieśni, ryczałów i masochizmu ojczyźnianego, z pełnego tragizmu poczucia wielkości, które inni mają gdzieś, i pretensji do wszystkich i do wszystkiego z Bogiem włącznie, który dla nas nie jest Bogiem, lecz carem (...)”.[5]

Dzięki takim, okraszonych ironią i chłodem, wypowiedziom o Polsce , których w jego dzienniku jest mnóstwo - najpierw coś się w nas buntuje. Bo jak to jest? Siedzi sobie Andrzej podczas wojny w Paryżu, wygłasza tyrady na cześć camemberta rozpływającego mu się w ustach, zagryzionego chlebem z masłem i sardynkami; opisuje wakacje jak z Balzaka u przyjaciół w Chambellay, w ogóle zachwyca się francuskim *esprit*, a w tym samym czasie w Polsce ludzie wykrwawiają się za Ojczyznę. O polskim romantyzmie, który przeżywa dziś wśród naszych konserwatystów renesans, który pokolenia uskrzydlał do walki o niepodległość, ma do powiedzenia tyle, że oddałby go w całości za Prusa. O naszym bohaterstwie mówi krótko: łatwiej nam umrzeć dla ojczyzny, niż dla niej żyć, my lubimy poświęcać krew swoich obywateli hurtowo – w imię „sprawy polskiej”. Nie godzi się na ostracyzm polskich literatów względem Conrada, wchodzi z kimś w polemikę na temat Żeromskiego i denerwuje go specjalność naszych „patriotów” - hipokryzja i wycieranie sobie gęby Polską. Warto zacytować w tym miejscu dłuższy ustęp na ten temat, szczególnie w odniesieniu do rodzimej krytyki literackiej:

„Gorszę moimi sądami absolutnie wszystkich. Czuję, że u wielu osób rodzi się od razu wątpliwość, czy ja jestem istotnie «dobrym Polakiem». W każdym razie na pewno nie stuprocentowym... (...) Oczywiście wybuchą powstanie przeciwko mnie. Stara historia: ja nie krytkowałem wcale Żeromskiego – ja «o b r a ż a m Polskę». Bo przecież to «taki polski pisarz». Co znaczy «taki?». Wcale nie uważam go za «takiego». Po czym największy kaliber, po którym człowiek powinien rozsypać się w proch: «on tak kochał Polskę». No cóż z tego? Piekielnie wygodny argument ta Polska, kiedy brak innych. (...) Jak się nie ma odwagi lub ochoty iść do końca, to spuszcza się białoczerwony szlaban...”.

Bobkowski, mimo iż trafia w Polaków celnie, odróżnia się od dzisiejszych polskosceptyków. Jego wypowiedzi pozbawione są tonu szyderstwa, tej postkolonialnej mentalności niewolnika, który najchętniej wyprałby się z tej narodowości. O tym, że jest Polakiem mówi głośno i bez cienia wstydu. Zdaje się, że bardziej drażni go w nas ta ciągła, sztuczna postawa ofiary losu. Poza tym, my naprawdę nie mamy się czego wstydzić. Znajdziemy w „Szkicach piórkiem” passusy, w których Bobkowski pisze o tym, że przy pierwszym kontakcie, rozmowie widać że przeciętny polski robotnik jest o wiele inteligentniejszy od wykształconego Francuza, a nasz rolnik przez rok lub dwa na francuskiej ziemi dochodzi do statusu majątkowego rolnika francuskiego, któremu zajęło to pół życia. Jest w tym jakaś skrywana w głębi chęć komunikatu: „Przestańcie, jesteśmy narodem który ma coś do powiedzenia i nie musimy szczebiotać by nas zauważono, po prostu róbmy swoje”.

Autor *Punktu równowagi* powstrzymuje się od wspomnień, ponieważ one go bolą. Wolałby od nich uciec, nawet wtedy gdy dotyka go uczucie pustki, np. w Gruissan:

„Błądzą wspomnienia, porównania, zapomniane obrazy. Szedłem raz sam w Gorcach w czasie halnego wiatru... Żal jest najgłupszym uczuciem, smutek obojętności.”[6]

Czy możemy mieć pretensję o brak czułościowego sentymentalizmu, który tylko betonuje polskiego ducha, osłabia go i czyni niezdolnym do działania?

Jest jeszcze coś, co nie pasuje. To ta nieznośna dla ludzi nastawionych konserwatywnie, często o wiecznie zmarszczonych czołach, młodzieńcza dezynwoltura Boba. Jego szalona radość czerpania ze źródła życia pełnymi garściami. Budząca jakiś dysonans poznawczy, bo mimo wszystko bliższa chrześcijańskiej afirmacji świata, niż tępemu hedonizmowi dziecięcia nihilizmu, który chciałby zatańczyć na zgłiszczach upadłej cywilizacji. Jak nieelegancko podczas wojny brzmią jego zapiski po przerwaniu na skutek alarmu bombowego seansie kinowym, na który wybrał się pewnego marcowego wieczoru z żoną:

„Noc do miłości i do nalotu idealna . I jutro idziemy na dalszy ciąg. Niech mi kto powie, że życie nie jest piękne”.[7]

- cały Bobkowski, który po serii humoresek z pełną powagą napomina się:

„Nieraz wydaje mi się, że jestem za szczęśliwy i że trzeba będzie za to zapłacić”.[8]

CZŁOWIEK PÓŁCIENIA

Na środowiskach konserwatywnych w Polsce, ciąży dzisiaj wielka odpowiedzialność za włączanie do szerszego krwioobiegu intelektualnego literatury zapomnianej, pozornie odległej od ram „powieści prawicowej”; odczytywanie na nowo dzieł - wydawałoby się - raz na zawsze wtłoczonych w wąskie ramy ideologii, książek których czytać – będąc przykładowym konserwatystą – rzekomo nie trzeba lub

nie wypada. Od Boba uczyć się możemy uczciwości wobec samych siebie i swojego środowiska, możemy uczyć się tej zapomnianej zasady, która karze osoby nam bliskie traktować z jeszcze większą surowością, poddawać wnikliwszej i często boleśniejszej ocenie – dla jej dobra. My szukamy dziś makatek, landszaftów. Bobkowski oferuje nam chaotyczną mozaikę, graffiti – zobaczymy co przedstawia, jeżeli trochę się zbliżymy i zechcemy dostrzec detal. Jak tego dokonać?

Musimy ponownie nauczyć się czytać, literalnie i pomiędzy wierszami, przedzierając się przez knieje znaczeń. Trzeba nam spać pod gołym niebem i wypatrywać znaków na wieczornym niebie literatury. Czyhać z ołówkiem w ręku podczas lektury, jak podczas polowania, wybierać drogi mozolne i wyboiste. „Szkice piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego są do takich ćwiczeń stworzone wyśmienicie.

Bobkowski szuka tego, czego szuka dziś wielu Polaków – tożsamości, poczucia zakorzenienia – metryki urodzenia dziadka, śladu prababki. Położenie geopolityczne, niemożność „urządzenia się” na dłużej i po swojemu, ciągłe przechodzenie przez państwa Europy w zabłoconych butach przez pokój między wschodem a zachodem jakim jest Polska, skazuje nas na tymczasowość życia motyla – notuje Bobkowski - pogodzony, upaprany klejem modelarskim między palcami.

[1] Bobkowski A., *Szkice piórkiem*, Warszawa 2007, s. 505

[2] Dziwiłem się sam sobie, że zwróciłem na to uwagę. Być może dlatego, że jest to sfera w której polska literatura współczesna raczkuje, nie dorastając do pięt autorom XIX i XX wieku.

[3] Bobkowski A., *Szkice piórkem*, Warszawa 2007, s. 270

[4] Bobkowski A., *Szkice piórkem*, Warszawa 2007, s. 348

[5] Bobkowski A., *Szkice piórkem*, Warszawa 2007, s. 393

[6] Bobkowski A., *Szkice piórkem*, Warszawa 2007, s. 45

[7] Bobkowski A., *Szkice piórkem*, Warszawa 2007, s. 281

[8] Bobkowski A., *Szkice piórkem*, Warszawa 2007, s. 293